

ŚWIAT DYSKU

TERRY PRATCHETT

PIĄTY
ELEFANT

ŚWIAT DYSKU

TERRY PRATCHETT

PIĄTY
ELEFANT

Przełożył
Piotr W. Cholewa



Prószyński i S-ka

Tytuł oryginału
FIFTH ELEPHANT

Copyright © Terry Pratchett 1999
This edition is published by arrangement with Transworld Publishers,
a division of The Random House Group Ltd.
All rights reserved

Projekt graficzny serii:
Zombie **S**putnik **C**orporation

Ilustracja na okładce
Copyright © Josh Kirby via Agentur Schlück GmbH

Redakcja
Łucja Grudzińska

Redakcja techniczna
Elżbieta Urbańska

Korekta
Grażyna Nawrocka

Łamanie
Monika Lefler

ISBN 978-83-7648-141-8

Wydawca
Prószyński Media Sp. z o.o.
02-651 Warszawa, ul. Garażowa 7
www.proszynski.pl

Druk i oprawa
Drukarnia Naukowo-Techniczna
Oddział Polskiej Agencji Prasowej SA
03-828 Warszawa, ul. Mińska 65

Tego samego autora polecamy:

KOLOR MAGII	ZADZIWIĄJĄCY MAURZYCY
★	I JEGO UCZONE SZCZURY
BLASK FANTASTYCZNY	★
★	NA GLINIANYCH NOGACH
RÓWNOUMAGICZNIENIE	★
★	WIEDŹMIKOŁAJ
MORT	★
★	WOLNI CIUTLUDZIE
CZARODZICIELSTWO	★
★	BOGOWIE, HONOR,
ERYK	ANKH-MORPORK
★	★
TRZY WIEDŹMY	OSTATNI KONTYNET
★	★
PIRAMIDY	CARPE JUGULUM
★	★
STRAŻ! STRAŻ!	PIĄTY ELEFANT
★	★
RUCHOME OBRAZKI	PRAWDA
★	★
NAUKA ŚWIATA DYSKU I, II i III	ZŁODZIEJ CZASU
★	★
KOSIARZ	ZIMISTRZ
★	★
WYPRAWA CZAROWNIC	STRAŻ NOCNA
★	★
POMNIEJSZE BÓSTWA	POTWORNY REGIMENT
★	★
PANOWIE I DAMY	PIEKŁO POCZTOWE
★	★
ZBROJNI	ŁUPS!
★	★
MUZYKA DUSZY	ŚWIAT FINANSJERY
★	★
CIEKAWY CZASY	HUMOR I MĄDROŚĆ
★	ŚWIATA DYSKU
MASKARADA	★
★	NIEWIDOCZNI AKADEMICY
OSTATNI BOHATER	★
★	



Mówią, że świat jest płaski i spoczywa na grzbietach czterech słoni, które z kolei stoją na skorupie gigantycznego żółwia. Mówią, że słonie – jako że są tak ogromnymi bestiami – mają kości ze skały i żelaza, a nerwy ze złota, bo lepiej przewodzi na wielkie dystanse*.

Mówią, że piąty słoń, rycząc i trąbiąc, nadleciał przez atmosferę młodego świata wiele lat temu i uderzył o grunt z taką mocą, że rozbił kontynenty i wyniósł łańcuchy gór.

Nikt właściwie nie widział jego lądowania, co prowadzi do interesującego problemu filozoficznego: kiedy ważący mnóstwo ton rozwścieczony słoń pędzi po niebie, ale nie ma nikogo, kto by go słyszał, to czy – w sensie filozoficznym – robi hałas?

I jeśli nie było nikogo, kto by widział, jak uderza o grunt, to czy naprawdę uderzył?

Inaczej mówiąc, czy nie jest to zwykła bajka dla dzieci, mająca wyjaśnić pewne interesujące zjawiska naturalne?

* Nie ze skały i żelaza w swej obecnej, martwej postaci, ale z żywej skały i żelaza. Kraśnoludy mają bardzo kreatywną mitologię minerałów.

Co do krasnoludów, które opowiadają tę legendę i kopią o wiele głębiej niż inni, one twierdzą, że jest w tym ziarno prawdy.



W czysty dzień z wysokich punktów obserwacyjnych w Ramtopach można spojrzeć bardzo daleko na równiny. Latem można policzyć kolumny kurzu, kiedy wołowe zaprzęgi suną ze swą maksymalną prędkością dwóch mil na godzinę, a każda para ciągnie za sobą wóz z przyczepą, po cztery tony ładunku. Długo trwało, nim wszystkie te wozy tu dotarły, ale kiedy już dotarły, było ich bardzo wiele. Do miast znad Morza Okrągłego wiozły surowce, a czasem ludzi, którzy wyruszali szukać szczęścia i garści diamentów.

W góry wracały gotowe wyroby, rzadkie obiekty z krain za oceanami oraz ludzie, którzy znaleźli mądrość i parę blizn.

Zwykle kolejne konwoje dzielił od siebie dzień drogi. Zmieniały krajobraz w rozwinięty wehikuł czasu – przy dobrej pogodzie człowiek mógł zobaczyć zeszły wtorek.

Heliografy mrugały w oddali – to kolumny wozów przesyłały sobie nawzajem wiadomości o aktywności bandytów, ładunku i najlepszym miejscu, gdzie można dostać dwa jajka, potrójne frytki i stek, który ze wszystkich stron zwisa z brzegów talerza.

Wielu ludzi podróżowało tymi wozami. Był to środek lokomocji tani, wygodniejszy niż droga piechotą, no i w końcu docierało się na miejsce.

Niektórzy podróżowali za darmo.

Jeden woźnica miał problemy ze swoim zaprzęgiem. Zwierzęta były nerwowe. Nie dziwiłoby to w górach, gdzie bardzo wiele dziwnych stworzeń mogłoby uznać wołu za wędrownego posiłek, ale tutaj nie było nic groźniejszego od kapusty.

Za plecami woźnicy, pomiędzy stosami desek, coś spało.



W Ankh-Morpork był to kolejny zwyczajny dzień... Sierżant Colon balansował na chwiejnej drabinie na końcu Mosiężnego Mostu, jednej z najbardziej ruchliwych ar-

terii miasta. Jedną ręką trzymał się wysokiego słupa z umocowaną na górze skrzyneczką, drugą podsuwał domowej roboty album do szczeliny w przedniej ścianie.

– A tu jest inny typ wozu – powiedział. – Zrozumiałeś?

– ...k – odpowiedział cichutki głosik z wnętrza.

– To dobrze – mruknął sierżant Colon, wyraźnie zadowolony. Schował album i wskazał most.

– Widzisz te dwa białe znaki namalowane na bruku?

– ...k.

– I oznaczają...?

– Jeśli-wóz-jedzie-między-nimi-mniej-niż-minutę-to-za szybko – powtórzył głosik wcześniejsze instrukcje.

– Dobrze. A wtedy ty...

– Maluję-ob-razek.

– Uważając, żeby było widać...

– Twarz-woźnicy-albo-tablice-wozu.

– A nocą...

– Użyć-salamandry-żeby-było-wyraźne.

– Bardzo dobrze, Rodney. Ktoś z nas zjawi się tu raz dziennie i odbierze obrazki. Masz wszystko, co potrzebne?

– ...k.

– Co to takiego, sierżancie?

Colon spojrział w dół na bardzo dużą, brązową i skierowaną ku górze twarz. Uśmiechnął się.

– Witaj, Cał – powiedział, schodząc z godnością po drabinie.

– To, na co pan teraz patrzy, panie Jolson, to element nowoczesnego projektu „Straż w nowym milenienium... niu”.

– Nie jest specjalnie straszne – zauważył Cał Jolson, przyglądając się krytycznie. – Widywałem straszniejsze.

– Straż jak w „Straż Miejska”, Cał.

– Aha, rozumiem.

– Niech ktokolwiek spróbuje tu jechać za szybko, a lord Vetinari obejrzy sobie rano jego obrazek. Ikonografy nie kłamią, Cał.

– Zgadza się, Fred. Bo są na to za głupie.

– Jego wysokość miał dosyć wozów pędzących po moście, rozumiesz, i prosił nas, żeby jakoś to rozwiązać. Jestem teraz Szefem Ruchu, Cał.

– To dobrze, Fred?

– No pewno! – zapewnił z satysfakcją sierżant Colon. – Do mnie należy ochrona tych, no... arterii miasta przed zablokowaniem, co doprowadziłoby do całkowitego załamania handlu i ruiny dla nas wszystkich. To najważniejsze z możliwych zadań, można powiedzieć.

– I tylko ty musisz je wykonywać?

– No, głównie. Głównie ja. Kapral Nobbs i inni chłopcy pomagają, oczywiście.

Cał Jolson podrapał się w nos.

– Bo ja właśnie chciałem z tobą pogadać na podobny temat, Fred.

– Nie ma problemu.

– Coś bardzo dziwnego pojawiło się przed moją restauracją, Fred.

Colon podążył za potężnym mężczyzną za róg. Zwykle lubił towarzystwo Cała, ponieważ przy nim wydawał się całkiem szczupły. Cał Jolson był człowiekiem, który figurował w dowolnym atlasie jako zmieniający orbity niewielkich planet. Kamienie bruku pękały pod jego stopami. W jednym ciele łączył – a było tam dość miejsca – najlepszego kucharza w Ankh-Morpork z najbardziej łakomym konsumentem, co stanowiło kombinację doprawdy stworzoną w niebie ziemniaczanego purée. Colon nie pamiętał nawet, jak Jolson ma na imię. Przydomek zyskał przez aklamację, ponieważ nikt, kto widział go na ulicy, nie mógł uwierzyć, że cały ten obiekt jest Jolsonem.

Na Broad-Wayu stał duży wóz. Inne wycofywały się i próbowały jakoś go ominąć.

– Koło obiadu przyszła dostawa mięsa, a kiedy woźnica wyszedł...

Cał Jolson wskazał sporą trójkątną konstrukcję zamontowaną na jednym z kół. Była wykonana z dębu i żelaza oraz pochłapana żółtą farbą.

Fred postukał w nią ostrożnie.

– Widzę, na czym polega kłopot – stwierdził. – Jak długo ten woźnica był u ciebie?

– Wiesz, dałem mu obiad...

– A twoje obiady są doskonałe, Cał, zawsze to powtarzam. Co miałeś na dzisiaj?

– Bitki w sosie śmietanowym, z opadkiem, a na deser bezowy tort „Czarna śmierć”.

Przez chwilę panowało milczenie, gdy obaj wyobrażali sobie cały posiłek. Fred Colon westchnął cicho.

– Opadek polany maselkiem?

– Nie chciałbyś mnie chyba obrazić, sugerując, że zapomniałem o maselku, prawda?

– Człowiek wiele czasu może spędzić, rozkoszując się takim obiadem – uznał Fred. – Tylko że widzisz, Cał, Patrycjusz bardzo nie lubi, kiedy wozy parkują na ulicy dłużej niż dziesięć minut. Uważa, że to coś w rodzaju przestępstwa.

– Zjedzenie mojego obiadu w dziesięć minut to nie jest przestępstwo, Fred, to tragedia – odparł Cał. – Tu jest napisane „Straż Miejska – usunięcie 15 \$”, Fred. To mój dochód za kilka dni, Fred.

– Chodzi o to – tłumaczył Fred Colon – że to masa papierów, rozumiesz? Nie mogę tak sobie tego odwołać, chociaż chciałbym. W komendzie na biurku mam wszystkie odcinki kontrolne. Gdybym ja dowodził strażą, to oczywiście... Ale mam związane ręce, rozumiesz...

Stali w niewielkiej odległości od siebie, z rękami w kieszeniach, pozornie nie zwracając na siebie uwagi. Sierżant Colon zaczął cicho pogwizdywać.

– Wiem o tym i owym – oznajmił ostrożnie Cał. – Ludziom się wydaje, że kelnerzy nie mają uszu.

– Ja wiem bardzo dużo, Cał. – Colon zabrzączał monetami w kieszeni.

Obaj przez chwilę wpatrywali się w niebo.

– Może zostało mi z wczoraj trochę lodów miodowych...

Sierżant Colon spojrział na wóz.

– Coś podobnego, panie Jolson! – zawołał tonem absolutnego zdumienia. – Jakiś wyjątkowy tępak założył klamrę na pańskie koło! Zaraz się tym zajmiemy.

Wyjął zza pasa dwie okrągłe łopatki pomalowane na biało, spojrział na wieżę semaforową komendy Straży Miejskiej, wystającą ponad dachem starej fabryki lemoniady, odczekał, aż dyżurny gargulec da mu sygnał, po czym z niejaką werwą i entuzjazmem zaczął odgrywać człowieka o sztywnych rękach, grającego dwie partie tenisa stołowego równocześnie.

– Patrol zjawi się tu lada chwila... Aha, popatrz tylko...

Kawałek dalej na ulicy dwa trolle starannie zakładały blokadę na koło wozu z sianem. Po minucie czy dwóch jeden spojrzął przypadkiem na wieżę komendy, szturchnął kolegę, wyjął własne dwie łopatki i – z nieco mniejszym zapalem niż Colon – wysłał sygnał. Kiedy otrzymał odpowiedź, trolle rozejrzały się, zauważyły Colona i ruszyły w jego stronę.

– Ta-dam! – zawołał z dumą sierżant.

– Niezwykła jest ta nowa technologia – przyznał z podziwem Cał Jolson. – A przecież musieli być... ile? Ze dwadzieścia, trzydzieści sążni stąd.

– Zgadza się, Cał. W dawnych czasach musiałbym gwizdać. A teraz zjawia się tutaj, wiedząc już, że to ja ich wzywam.

– Inaczej musieliby spojrzeć i zobaczyć, że to ty.

– No tak... – przyznał Colon świadomy, że to, co zaszło, może nie być najjaśniejszym promieniem światła w świecie rewolucji komunikacyjnej. – Oczywiście, to by działało tak samo dobrze, gdyby byli wiele ulic stąd. Albo nawet po drugiej stronie miasta. A gdybym kazał gargulcowi, żeby, jak to określamy, „rzucił” wiadomość na „dużą” wieżę nad Tumpem, za parę minut odebraliby wszystko w Sto Lat.

– A to przecież dwadzieścia mil.

– Co najmniej.

– Niezwykłe, Fred.

– Czasy się zmieniają, Cał – stwierdził Colon, gdy trolle dotarły na miejsce. – Funkcjonariusz Czert, kto wam kazał założyć blokadę na wóz mojego przyjaciela? – zapytał groźnie.

– No bo, sierżancie, rano pan mówił, coby zaklamrować każdy...

– Ale nie ten – przerwał mu Colon. – Zdejmijcie to natychmiast i nie będziemy już wracać do tej sprawy. Jasne?

Funkcjonariusz Czert doszedł najwyraźniej do wniosku, że nie płacą mu za myślenie – i dobrze, ponieważ sierżant Colon nie uważał, by w tym zakresie była to rozsądna inwestycja.

– Jak pan tak mówi, sierżancie...

– A kiedy się tym zajmiecie, ja i Cał utniemy sobie małą pogawędkę. Prawda, Cał?

– Zgadza się, Fred.

– To znaczy, mówię „pogawędka”, ale ja będę głównie słuchał, a to z powodu tego, że będę miał pełne usta.



Śnieg zsuwał się z jodłowych gałęzi. Człowiek przecisnął się między nimi, przez chwilę stał nieruchomo, z trudem chwytając oddech, po czym szybkim truchtem ruszył przez polanę.

W dolinie rozległy się pierwsze dźwięki rogu.

Miał zatem godzinę, jeśli można im wierzyć. Może nie uda mu się dotrzeć do wieży, ale były przecież inne rozwiązania.

Miał plany. Potrafi ich przechytrzyć. Trzymać się z dala od śniegu, ile tylko można, zawracać, korzystać ze strumieni... To możliwe, to już się udawało... Był tego pewien.

Kilka mil od niego smukłe ciała zanurzyły się między drzewa. Zaczęły się łowy...



Bardzo daleko od tego miejsca, w Ankh-Morpork, paliła się Gildia Błaznów.

Co stanowiło problem, ponieważ drużyna strażacka gildii składała się głównie z klaunów.

A to z kolei stanowiło problem, ponieważ jeśli pokazać klaunowi wiadro i drabinę, możliwa jest tylko jedna reakcja. Lata szkolenia biorą górę. Coś w czerwonym nosie przemawia do niego. Nie może się powstrzymać.

Sam Vimes ze Straży Miejskiej Ankh-Morpork oparł się o mur i oglądał przedstawienie.

– Naprawdę musimy jeszcze raz złożyć u Patrycjusza wniosek o powołanie publicznej straży pożarnej – powiedział.

Po drugiej stronie ulicy klaun podniósł drabinę, odwrócił się, walnął drabiną klauna za sobą i wrzucił go do wiadra, odwrócił się znowu, żeby sprawdzić, co to za zamieszanie, i posłał swą podnoszącą się ofiarę z powrotem do wiadra, gdzie wpadła z dziwnym młaskiem. Tłum patrzył w milczeniu – gdyby to było śmieszne, klauni by tego nie robili.

– Gildie są mocno przeciwne – odparł kapitan Marchewa Żelaznywładsson, jego zastępca. Klaunowi z drabiną wylano wodę z wiadra do spodni. – Mówią, że to by było wtargnięcie na prywatny teren.

Płomienie strzeliły z pokoju na pierwszym piętrze.

– Jeżeli pozwolimy, żeby się spaliła, będzie to poważny wstrząs dla rozrywki w tym mieście – oświadczył z przekonaniem Marchewa.

Vimes zerknął na niego z ukosa. To był prawdziwy Marchewowy komentarz. Brzmiał niewinnie jak demony, ale można było go zrozumieć całkiem inaczej...

– Rzeczywiście będzie – przyznał. – Mimo to lepiej chyba coś z tym zrobić. – Zrobił kilka kroków naprzód i uniósł dłonie do ust. – No dobra! Tu Straż Miejska! Uformować łańcuch! Brać wiadra!

– Auu... Musimy? – odezwał się któryś z gapiów.

– Owszem, musicie – zapewnił kapitan Marchewa. – Chodźcie wszyscy, jeśli ustawimy się w dwie linie, załatwimy sprawę raz-dwa. Co wy na to? Może być nawet zabawnie.

Ustawili się posłusznie, jak zauważył Vimes.

Marchewa każdego traktował tak, jakby był miłym i sympatycznym gościem. I w jakiś niewyjaśniony sposób ludzie nie mogli się oprzeć, by wykazywać mu, że się nie myli.

Ku powszechnemu rozczarowaniu ogień szybko został ugaszony – kiedy tylko rozbrojono klaunów i dobrzy ludzie odprowadzili ich na bok.

Marchewa powrócił, ocierając czoło, gdy Vimes zapalał cygaro.

– Zdaje się, że połykacz ognia miał kłopoty żołądkowe – wyjaśnił.

– Całkiem możliwe, że nigdy nam tego nie wybaczą – stwierdził Vimes, kiedy wrócili do patrolowania ulic. – No nie... Co teraz?

Marchewa spoglądał w górę, w kierunku najbliższej wieży semaforowej.

– Rozruchy przy Kablowej – poinformował. – Kod „Wszyscy funkcjonariusze”, sir.

Ruszyli biegiem. Człowiek zawsze biegł na „Wszystkich funkcjonariuszy”. Bo sam też mógł mieć kłopoty.

Kiedy zbliżali się do celu, zauważyli na ulicach więcej krasnoludów. Vimes rozpoznał charakterystyczne znaki: wszystkie krasnoludy miały skupione miny i szły w tym samym kierunku.

– Załatwione – stwierdził, kiedy skręcili za róg. – Od razu można poznać po nagłym zwiększeniu liczby podejrzenie przypadkowych przechodniów.

Cokolwiek się tutaj działo, była to sprawa poważna. Ulicę zaścieniały rozmaite śmieci i całkiem sporo krasnoludów. Vimes zwolnił.

- Już trzeci raz w tym tygodniu – zauważył. – Co w nich wstąpiło?
- Trudno powiedzieć, sir – odparł Marchewa.

Vimes zerknął na niego z ukosa. Marchewa wychował się wśród krasnoludów. Poza tym, jeśli tylko mógł tego uniknąć, nigdy nie kłamał.

- To nie to samo co „nie wiem”, prawda?
- Kapitan był wyraźnie zakłopotany.
- Myślę, że to... no, jakby sprawa polityczna, sir.
- Vimes zauważył wbity w ścianę topór.

- Tak, rzeczywiście – mruknął.

Ktoś nadchodził ulicą – i był prawdopodobnie powodem, dla którego zamieszki ustały. Młodszy funkcjonariusz Bluejohn był chyba największym trollem, jakiego Vimes spotkał w życiu. Wyrastał... Nie wyróżniał się z tłumu, ponieważ sam był tłumem. Ludzie nie zauważali go, gdyż przesłaniał widok. I jak wiele potężnie zbudowanych osób, był instynktownie łagodny i dość nieśmiały, chętnie słuchał rozkazów. Gdyby trafił do gangu, zostałby żołnierzem. W straży służył za tarczę podczas zamieszek. Inni strażnicy wyglądali zza niego.

– Wygląda na to, że wszystko się zaczęło w delikatesach u Świdry – stwierdził Vimes, kiedy dotarła reszta straży. – Weźcie od niego zeznanie.

– To nie jest dobry pomysł, sir – oświadczył stanowczo Marchewa. – On niczego nie widział.

– A skąd wiesz, że niczego nie widział? Nie pytałeś go.

– Wiem, sir. Niczego nie widział. Niczego też nie słyszał.

– Nawet kiedy tłum demolował mu lokal i walczył na ulicy przed drzwiami?

– Tak jest, sir.

– Ach, rozumiem. Nikt nie jest tak głuchy jak ci, którzy nie chcą słyszeć. To chcesz mi powiedzieć?

– Coś w tym rodzaju, sir. Tak. Proszę posłuchać, sir, wszystko się skończyło. Nie sądzę, żeby ktoś był poważnie ranny. Tak będzie najlepiej, sir. Proszę...

– Czy to jedna z tych prywatnych spraw krasnoludów, kapitanie?

– Tak, sir...

– Ale jesteśmy w Ankh-Morpork, nie w jakiejś górskiej kopalni. Moim obowiązkiem jest dopilnowanie spokoju, a to mi nie wygląda na spokój. Co powiedzą ludzie na takie bójki uliczne?

– Powiedzą, że to kolejny dzień w życiu miasta, sir – odparł sztywno Marchewa.

– Tak, przypuszczam, że faktycznie tak powiedzą. Jednakże...
– Vimes podniósł jęczącego krasnoluda. – Kto to zrobił? – zapytał groźnie. – Nie jestem w nastroju do słuchania wykrętów. Gadaj! Chcę znać nazwisko!

– Agi Młotokrad – wymamrotał krasnolud.

– Dobrze. – Vimes go puścił. – Zapiszcie to, Marchewa.

– Nie, sir – odparł Marchewa.

– Słucham?

– W mieście nie ma żadnego Agiego Młotokrada, sir.

– Znacie każdego krasnoluda?

– Znam ich wielu, sir. Ale Agiego Młotokrada można spotkać tylko w głębi kopalni, sir. To rodzaj złośliwego ducha, sir. Na przykład „Wsadź to tam, gdzie Agi Młotokrad węgiel trzyma” oznacza...

– Tak, mogę się domyślić – przerwał mu Vimes. – Sugerujesz, że ten krasnolud właśnie powiedział, że awanturę zaczęło leśne лихо?

Krasnolud zniknął już za rogiem.

– Mniej więcej, sir. Przepraszam na moment. – Marchewa przeszedł na drugą stronę ulicy, wyjmując zza pasa dwie białe paletki. – Wejść tylko w linię widoczności wieży – wyjaśnił. – Lepiej posłać sekara.

– Dlaczego?

– No, kazaliśmy czekać Patrycjuszowi, sir, więc wypada może mu powiedzieć, że się spóźniliśmy.

Vimes sięgnął po zegarek i spojrzął na tarczę. Miał przecucie, że to znowu jeden z tych dni... tych, które przytrafiają się codziennie.



W naturze wszechświata leży, by osoba, która zawsze każe człowiekowi czekać dziesięć minut, tego dnia, gdy ten człowiek się o dziesięć minut spóźni, była gotowa dziesięć minut wcześniej i bardzo starannie nic o tym nie wspominała.

– Przepraszamy za spóźnienie, sir – rzekł Vimes, kiedy weszli do Podłużnego Gabinetu.

– Och, spóźniliście się, panowie? – Patrycjusz uniósł wzrok znad papierów. – Doprawdy nie zauważyłem. Nic poważnego, mam nadzieję?

– Gildia Błaznów się paliła, sir – wyjaśnił Marchewa.

– Jakież ofiary?

– Nie.

– Cóż, to prawdziwe błogosławieństwo – stwierdził wolno lord Vetinari.

Odłożył pióro.

– Do rzeczy... Co mieliśmy omówić...? – Przysunął sobie jakiś dokument i przeczytał szybko. – Aha... Jak widzę, nowy wydział ruchu drogowego wywarł oczekiwany skutek. – Wskazał duży stos papierów. – Dostaję niezliczone skargi od Gildii Woźniców i Poganiaczy. Brawo. Proszę przekazać moje podziękowania sierzantowi Colonowi i jego ludziom.

– Oczywiście, sir.

– Jak widzę, jednego dnia zaklamrowali siedemnaście wozów, dziesięć koni, osiemnaście wołów i kaczkę.

– Była nieprawidłowo zaparkowana, sir.

– W samej rzeczy. Jednakże dostrzegam tu chyba pewien dziwny schemat...

– Sir?

– Wielu woźniców zapewnia, że tak naprawdę wcale nie parkowali, ale zatrzymali się tylko, by przepuścić wyjątkowo starą i wyjątkowo brzydką damę, która wyjątkowo powoli przechodziła przez ulicę.

– Tak się tłumaczy, sir.

– Wnioskują, że była stara, na podstawie niekończącej się litanii wyrażen typu „Laboga, moje biedne stopy” i tym podobnych.

– Z całą pewnością brzmienie sugeruje starszą osobę, sir – rzekł Vimes z nieruchomą twarzą.

– No właśnie. Dziwne jednak, że kilku z nich zauważyło, jak owa starsza dama odbiegała potem w boczną uliczkę, dość szybko. Nie zwróciłbym na to uwagi, oczywiście, gdyby nie fakt, iż ową damę zauważono jakoby podczas przechodzenia przez inną ulicę, bardzo powoli, w sporej odległości od poprzedniej. Tajemnicza sprawa, Vimes.

Vimes przesłonił dłonią oczy.

– To tajemnica, którą zamierzam bardzo szybko wyjaśnić, sir.

Patrycjusz skinął głową i zapisał kilka słów na kartce. Kiedy odłożył ją na bok, odstłonił kartkę o wiele brudniejszą i wielokrotnie złożoną. Chwycił dwa noże do papieru, za ich pomocą bardzo ostrożnie rozłożył kartkę i przesunął po blacie w stronę Vimesa.

– Czy wie pan coś na ten temat?

Vimes spojrział na wielkie, okrągłe, wyrysowane kredką litery:

„DrOG i Pane, Okrucistfo wobes BesDomyh PsuF w tym MIE-Scie to chańBA, CO rOBi StraSZ W tej SpraWie; PopdisAnO LyGa PszeCif OkrucistfU dla PsuF”.

– Nic zupełnie – zapewnił.

– Moi urzędnicy twierdzą, że prawie co noc podobny list wsuwany jest pod drzwi – rzekł Patrycjusz. – Jak rozumiem, nikogo nie zauważono.

– Mam to zbadać? Nie powinno być trudno znaleźć w mieście kogoś, kto ślini się przy pisaniu, a ortografię ma jeszcze gorszą niż Marchewa.

– Bardzo dziękuję, sir – wtrącił Marchewa.

– Żaden z gwardzistów nie zameldował, by cokolwiek zauważyli – powiedział Patrycjusz. – Czy jest w Ankh-Morpork jakaś grupa specjalnie zainteresowana dobrobytem psów?

– Wątpię, sir.

– Zatem zignoruję te listy *pro tem* – zdecydował Vetinari. Wilgotny list z plaśnięciem wylądował w koszu. – Przejdźmy do pilniejszych spraw. O czym to... Co pan wie na temat Bzyku?

Vimes wytrzeszczył oczy.

Marchewa chrząknął dyskretnie.

– Rzeki czy miasta, sir?

Patrycjusz się uśmiechnął.

– Wie pan, kapitanie, już dawno przestał mnie pan zaskakiwać. Chodziło mi o miasto.

– To jedno z większych miast w Überwaldzie, sir – tłumaczył Marchewa. – Eksport: cenne metale, skóra, drewno i oczywiście tłuszcz z głębokich kopalni tłuszczu w Schmaltzbergu...

– Istnieje miasto o nazwie Bzyk? – spytał Vimes, wciąż zaskoczony tempem, w jakim dotarli tam od wilgotnego listu o psach.

– Ściśle mówiąc, sir, poprawna wymowa to raczej Bezik – odparł Marchewa.